

Niecenzuralny Szekspir

O Szekspirze można nieskończenie. Wciąż zalewa nas wysoka fala opracowań, dociekań, naukowych edycji, komentarzy, nowych przekładów.

TOMASZ MIŁKOWSKI

Jak wspomina Jerzy Limon, autor jednej z najnowszych książek o Szekspirze i jego teatrze („Szekspir bez cenzury”, 2018), sam spis tekstów o Szekspirze, jakie ukazują się na całym świecie każdego roku, to spora książka: „Powstają setki doktoratów – odnotowuje Limon – z drugiej zaś strony ukazują się komiksy. Świat ten ma swoich wielkich i maluczkich, listy rankingowe i ławki transferowe. Istnieją dziesiątki pism naukowych poświęconych Szekspirowi. W Indiach wychodzi kwartalnik poświęcony wyłącznie „Hamletowi”. Dodatkowo w teatrach całego świata wystawia się kilkadziesiąt inscenizacji szekspirowskich, nieco mniej oper i kręci kilka co najmniej filmów, niekiedy znaczących. W samych Stanach Zjednoczonych odbywa się ponad sto festiwali szekspirowskich rocznie, w większości bez artystycznego znaczenia”.

Nie sposób tego ogarnąć, a przecież wciąż pojawiają się nowe dociekania, pomysły. Szekspir kusi, choć szekpirologia na ogół odstręcza. Do wyjątków należą książki odkrywczycy, naprawdę zmieniające myślenie o Szekspirze, a w dodatku dobrze napisane, takie jak „Szekspir współczesny” (1965) Jan Kotta czy „Czytając Szekspira” (1996) Andrzeja Zurowskiego.

Osobną specjalnością są powtarzające się wciąż próby detronizacji Szekspira, niekiedy bardzo pracowicie udokumentowane dzieła, które dowodzą, że Szekspir nie istniał albo był kimś zgoła innym. Tym razem jednak nie mamy do czynienia z takim dziełem. To raczej frapujący pokaz, jak wielkiego wysiłku wymaga praca tłumacza, aby dotrzeć do „trzewi” znaczeń, które wpisał w swoje nader wyrafinowane teksty autor „Hamleta”. W dodatku pokaz przeprowadzony z kulturą i dowcipem na materiale szczególnie wrażliwym, bo dotyczącym erotyki.

Rzecz zakrawa na pewien paradoks. Z jednej strony trudno komuś słabo zadomowionemu w angielszczyźnie zrozumieć wiele zawiłych aluzji i kalamburów od których roi się w dramatach i sonetach Szekspira, ale z drugiej strony wcale nie jest źle rodowitym Brytyjczykom. Wprawdzie 90 procent leksyki, którą posługuje się Szekspir (a to mniej więcej 20 tysięcy słów), zachowało obywatelstwo we współczesnym angielskim, ale niemała ich część zmieniała znaczenie, a zatem i sens. Profesor Limon przytacza na to



liczne dowody – co innego coś kiedyś znaczyło, a co innego dzisiaj. Także aluzje wyblakły, a przecież nie sposób w teatrze słuchać dialogów i jednocześnie sprawdzać ich sens w komentarzach – w tym wypadku przewagę zyskuje czytanie nad oglądaniem. Mało tego, pierwsze wydania dramatów Szekspira nie są wolne od błędów – a co więcej, istnieje kilka wersji tych tekstów, ale którą z nich należy uznać za obowiązującą, nie zawsze wiadomo. Edytorzy współcześni mają więc nie lada orzech do zgrzyżenia.

Z tego punktu widzenia „łatwiej” mają cudzoziemcy. Po pierwsze, dzięki coraz to nowszym tłumaczeniom obcują z Szekspirem przełożonym na język współczesny, pozbawionym archaizmów i nieczytelnych zwrotów, a przy tym z przekładem, który usiłuje objaśnić szekspirowski kalambur.

Nie zawsze się to udaje, bo trudności tu co niemiara. Żeby te dyblematy ukazać, Limon sięgnął po materię od wieków pociągającą widzów i czytelników, a mianowicie kwestii damsko-męskich. Jak bowiem wynika z poważnych badań, najwięcej uwagi i wynalazczości poeci poświęcali, aby oddać rozmaite czynności i organy związane z uprawianiem seksu, znacznie więcej niż na przykład cieszącym się do dzisiaj w kinie amerykańskim (i nie tylko) puszczaniem wiatrów, czyli baków. U Szekspira znaleźć można – jak wyliczono – 45 nazw organu męskiego i aż 70 – żeńskiego. Chodzi tutaj o określenia omowne, metaforyczne, kalambury i gry słowne.

Szekspir był w tym mistrzem, z reguły nieprzekraczającym granicy dobrego smaku.

Z tym dobrym smakiem też powinniśmy uważać, czym mianowicie ten smak jest, zależy do epoki. Profesor Limon nie bez przyczyny przytacza przykłady głównych rozrywek Anglików w epoce elżbietańskiej. Zaliczyć do nich należy z pewnością masowe uczestnictwo w publicznych egzekucjach, których podówczas w Londynie i całej Anglii nie brakowało. Paliwo do tych rozrywek dostarczały wojny religijne. Jak wyliczono (ach, te niezawodne statystyki), w samym Londynie odbywało się takich uciech 140 rocznie, a więc mówiąc inaczej co dwa dni można była napaść oczy krwawym przedstawieniem. Jeśli ktoś niesyty, mógł ruszyć w teren, w całym kraju rocznie rozprawiano się publicznie z 2000 skazańców. Egzekucje publiczne były niezwykle malownicze. „Nie ograniczały się bowiem do uśmiercania złooczyńcy – pisze Limon – zwłaszcza zdrajcy (...) Ciało wieszano, po czym odcinano półżywego skazańca ze stryczka i na oczach gawiedzi przystępowano do kolejnego aktu, jakim było wybebeszanie i kastrowanie, potem wrywano serce a ciało ćwiartowano i dopiero na koniec pozabawiono głowy”. Uroczę, prawda?

W tym kontekście rozmaite nawet grube żarty czy obscena wyglądały na dziecinne psoty. Przy czym, od razu dodajmy, psoty Szekspira z reguły były naprawdę dość niewinne (co nie znaczy,

że nie przeświecały w podtekście sprośnością), ale zalecały się poetyckim wyrafinowaniem i celnością prowadzenia gier językowych. To też pułapka na tłumaczy i interpretatorów, którzy mogą na siłę dopatrywać się erotycznych podtekstów tam, gdzie ich tak naprawdę nie ma albo gdzie ich obecność jest co najmniej wątpliwa. Wszystko przecież zależy od kontekstu i sensu całości. Z tym jednak nie zawsze teatr bywa w zgodzie, a czasem całkiem na bakier.

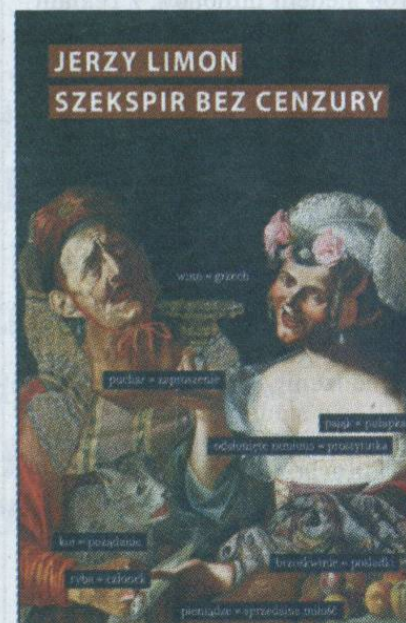
Psoty psotami, ale nie wolno zapominać, że bywały nierzadko przedmiotem prześladowań cen-

zury. W Anglii o zgodność z obyczajnością dbał Mistrz Rozrywek. I choć bardziej interesował się aluzjami politycznymi, to jednak i na obscena baczył. W tym cenzuralnym nacisku niektórzy skłonni są widzieć źródło wynalazczości autorów, w tym i Szekspira, którzy uciekając przed zakazami prześcigali się w określeniach zastępczych, aluzyjnych, a nawet finezyjnych. Zresztą, jak nader trafnie zauważa Jerzy Limon „dla teatru dosłowność jest zabójcza”.

Tak czy owak, potyczki teatru z cenzurą to temat rzeka, najzwyczajniej w perspektywie historycznej ujęty przez Zygmunta Hübnera w książce „Polityka i teatr” (1991). Szekspir padał często ofiarą autocenzury tłumaczy, którzy uciekali od soczystego języka oryginału w stronę zwrotów ugrzeczniczonych – taka maniera panowała przez wiele lat w polskich przekładach. Stosunkowo od niedawno poczęto dogrzebywać się do tego nieujawnianego wcześniej aluzyjnego dna, choć nie zawsze z wynikiem zadowalającym – czasem tłumacze kapitulują.

Limona, jako się rzekło, interesuje jednak „Szekspir bez cenzury”. Jego książka jest rodzajem słownika, choć słownikiem nie jest, jak wyjaśnia sam autor. Nie jest nim, ponieważ ogranicza się tylko do przykładów i posługuje wybranym zespołem dowodów, czyli polskich przekładów Szekspira. Zawiera więc przegląd charakterystycznych przykładów, a do tego mnóstwo odpowiednio dobranych ilustracji, które oddają aurę erotycznego żartu na scenie elżbietańskiej.

To dość, aby z jednej strony docenić wynalazczość geniusza ze Stratfordu, a z drugiej poddać się zabawie dwuznaczności, którą zawierają niekiedy na pozór niewinne wersy. Limon określa te podwójności znaczeniowe nader wytwornym pojęciem migotania czy też opalizowania rozmaitych sensów, objaśniając dla przykładu podwójne znaczenie tytułu szekspirowskiej komedii „Wiele hałasu o nic”, czyli po angielsku „Much Ado About Nothing”. Polskie tłumaczenie, choć poprawne, gubi owo „opalizujące” drugie znaczenie, bo jak się okazuje, „nothing” w czasach elżbietańskich oznaczało nie tylko „nic”, ale również „kuciapkę”. Innymi słowy, tytuł komedii Szekspira można wyłożyć jako „Wiele hałasu o kuciapkę”. Pokażcie mi dyrektora teatru, który umieści taki tytuł na frontonie swojego teatru. ●



Jerzy Limon, „Szekspir bez cenzury. Erotyczny żart na scenie elżbietańskiej”, Fundacja Terytoria Książki, Gdańsk 2018, str. 400, ISBN 978-83-7908-120-2.